

ODERWIJCIE SIĘ OD KŁOPOTÓW

Wagnera bym chyba nie udźwignął. Zwróciłem się w stronę moich zainteresowań - bliska była mi Italia, Rzym, gatunek komediowy, czyli idealna forma do zabawy.

ROZMOWA Z
JERZYM STUHREM
reżyserem



JACEK MARCZEWSKI / AGENCJA GAZETA

MARTA GRUSZECKA: „Wydaje mi się dość wyjątkowym w Polsce przypadkiem aktora, który sprawdza się we wszystkich gałęczach sztuki, które uprawia, to znaczy sprawdza się Jerzy Stuhr i w filmie, i w telewizji, i w teatrze” - mówi o panu Krzysztof Kieślowski. Teraz sprawdzi się pan w szczególnym rodzaju teatru - operze. Co pana uwiodło w sztuce operowej?

JERZY STUHR: Długo dochodziłem do decyzji podjęcia pracy nad operą. Wzięło się to głównie z tęsknoty za teatrem mojej młodości, teatrem, z którego wyrosłem, czyli wielkich inscenizacji. Debiutowałem w „Dziadach” Konrada Swinarskiego, w których brało udział 80 aktorów, orkiestra, grało się w każdym zakątku teatru... Podobnie „Noc listopadowa”, „Biesy”, „Wyzwolenie” - to były ogromne inscenizacje. Umyslowiłem sobie, że opera wciąż jest moim ukochanym teatrem totalnym działającym na wszystkie zmysły widza. Często zasiadał pan na widowni scen operowych?

- Ostatnio chodziłem do opery głównie po to, by podpatrywać - na czym polega inscenizacja, na ile reżyser może sobie pozwolić. Czasem zauważałem bardzo proste rzeczy - na przykład nie mogę postawić śpiewaka tyłem do orkiestronu, bo przecież musi widzieć dyrygenta.

Obserwacje mógł pan wykorzystać podczas przygotowań do „Don Pasquale” Gaetano Donizettiego. Jakie pan, reżyser filmów i sztuk teatralnych, dostrzega podobieństwa, a jakie różnice w pracy nad spektaklem operowym?

- Film, teatr i operę różni czasokres. Przygotowania do filmu czasami trwają parę lat. Lecz potem na planie trzeba pracować niesłychanie szybko. Scena ma być nakręcona w słońcu? To musimy zdążyć przed zachodem. W przeciwnym razie operator powie „nie ma ekspozycji” i przeminęło z wiatrem.

W teatrze czasu jest mniej. Ale metoda pracy właściwie taka sama - to ciągle namawianie się. Scenografów i aktorów, a w operze śpiewaków. Zarówno w filmie, jak i w teatrze wszystko, co robimy, urodzi się w ostatniej chwili. Albo klocki złożą mi się w spektakl „Don Pasquale” albo nie.

Dlaczego na swój reżyserski debiut na scenie opery wybrał pan tę włoską komedię?

- Zacząłem się zastanawiać - co przygotować? Nie umiem wielu rzeczy, Wagnera bym chyba nie udźwignął. Zwróciłem się w stronę moich zainteresowań - bliska była mi Italia, Rzym, gatunek komediowy, czyli idealna forma do zabawy. Wtedy natknąłem się na propozycję dyrektora Opery Krakowskiej Bogusława Nowaka, który chciał mnie zainteresować włoską operą komiczną. Pelen rynsztunek i sztafaż aparatu operowego plus Mariusz Kwiecień w roli doktora Malatesty - to były silne magnesy. Czytając libretto Ruffiniego, zaciekały mi obecne w tekście dygresje. Śpiewacy wychodzą ze swoich ról i komentują to, co dzieje albo co stanie się na scenie. „Za chwilę będzie straszna afera” - śpiewa do publiczności jedna z postaci. Pomyślałem sobie: „Ach, czyli w XVIII wieku panowie Donizetti i Ruffini bawili się tym gatun-

MATERIAŁY PRASOWE RYSZARD KORNECKI



„Don Pasquale”, reż. Jerzy Stuhr, premiera odbyła się wczoraj, a kolejne spektakle: 6 grudnia, 31 marca oraz 1 i 2 kwietnia przyszłego roku

Chciałabym, by podczas oglądania „Don Pasquale” widz zapomniał o tym, co jest na zewnątrz, o swoich kłopotach. Uniósł się tą muzyką, czasem roześmiał. By działały na widza wszystkie rodzaje bodźców - muzyka, głosy śpiewaków, piękno kostiumów

kiem! Nie kazali ludziom wierzyć, że to rzeczywistość, a akcentowali komizm sytuacji, brali ją w nawias”. To mnie przekonało.

Poza zaproponowanym przez Operę Krakowską Mariuszem Kwietniem, sam skompletował pan obsadę?

- Dyrektor Nowak umożliwił mi przeprowadzenie castingu, a bardzo

rzadko bywa tak, że teatr proponuje reżyserowi wybór zespołu. Razem z artystami Opery Krakowskiej wybieraliśmy śpiewaczkę do roli Noriny. Na przesłuchanie przyjechało ponad 70 pań z całego świata. Nic dziwnego - kiedy śpiewaczki usłyszały, że można zaśpiewać u boku Mariusza Kwietnia, to każda chciała wcielić się w tę rolę. Wygrała pani Alexandra Flood z Australii.

Przyjął pan nie tylko rolę reżysera, ale również Notariusza, bohatera „Don Pasquale”. I, podobnie jak pani Alexandra, zaśpiewa na jednej scenie z Mariuszem Kwietniem. Śpiewać każdy może?

- Rolą Notariusza nie debiutuję w śpiewanym repertuarze - w Narodowym Starym Teatrze, m.in. w „Nocy listopadowej”, śpiewałem bardzo trudne partie wokalne. Śpiewu uczyli mnie wtedy wybitni kompozytorzy - Stanisław Radwan, Zygmunt Konieczny, Andrzej Zarycki. Do występu w „Don Pasquale” przygotowywali mnie z kolei operowi korepetytorzy, którzy dość rygorystycznie wymagali zgodności z nutami. Jednak mój udział w tym spektaklu tylko pod-

kreśla, że to komedia, nic na serio. Skoro aktor, który nie jest śpiewakiem, może zaśpiewać w operze... Mam nadzieję, że publiczność zrozumie ten żart.

Żartem nazywano operę „Don Pasquale” przed premierą. Gaetano Donizetti skomponował ten utwór zaledwie w 11 dni.

- Czasem to słyhać. Zwłaszcza w finale, który musiał już być pisany w nocy, bo następnego dnia trzeba było operę grać. Dlatego w tej części muszę troszkę ukryć niedoskonałości. Poza tym, muzyka jest śliczna, nie należy jej często przeskadzać.

Pan zapamięta spektakl „Don Pasquale” m.in. jako swój debiut operowy. A jak publiczność powinna odebrać tę operę?

- Chciałabym, by podczas oglądania „Don Pasquale” widz zapomniał o tym, co jest na zewnątrz, o swoich kłopotach. Uniósł się tą muzyką, czasem roześmiał. By działały na widza wszystkie rodzaje bodźców - muzyka, głosy śpiewaków, piękno kostiumów. Marzy mi się wieczór synkretycznego relaksu. ●

ROZMAWIAŁA MARTA GRUSZECKA